

Die 27 julii

Alkierz we dworze w Dydni, wieczór

Dwa dni później starosta przyszedł do alkierza, w którym przebywał Jacek, niezamknięty wprawdzie pod strażą, ale zobowiązany nobile verbum, iż miejsca tego nie opuści, nawet gdyby się paliło albo przyszli Tatarzy. Tym razem Piotr z Ossy Oźga nie był pochmurny i nie gderał.

– Polepszyło mu się, rybeńko – rzekł. – Tak, dobrze gadam, polepszyło się waścinemu bratu. Już nie ma gorączki. Będzie blizna, ale przecie szlachecki łeb jest jak pergamin, na którym notuje się zarówno znaczne wiktorie, jak i mężne porażki. A ty wiesz, waszmość, coś uczynił? Powiedz, proszę!

– Co mam powiedzieć?

– Coś bratu uczynił?

– W łeb go ciąłem.

– Tu mi nie idzie o łeb i cięcie, ale o sam fakt, żeś na niego rękę podniósł. To nie była żadna zwada, rybeńko. Wiesz, coś

uczynił? Powiedzieć ci? Uczyniłeś bratobójstwo. Omal bratobójstwo, za które Bóg słusznie by cię skarał. Powtórz!

– Uczyniłem bratobójstwo – rzekł stropiony Jacek. I od razu pomyślał, że jest w takiej desperacji, po tym jak Przeclaw podłożył mu się pod szablę, iż naprawdę gotów był dokończyć to, co przypadkiem zaczął.

– Tak, właśnie! Otóż to! Bratobójstwo. Do którego na szczęście nie doszło. Chodź za mną, kochaneńki.

Jacek podniósł się ociężale jak niedźwiedź i ruszył za starostą. Przeszli przez czerwoną izbę i świetlicę do alkierza, w którym na stosie pierzyn i poduszek, niczym turecki święty, spoczywał Przeclaw z głową owiniętą szarpiami. Oblicze miał blade, spocone. Czuwała przy nim metresa Halszka Skotnicka, która zmieniała mu opatrunek i przemywała lica zmoczoną w czystej wodzie gąbką. Starszy brat mógłby wszakże przysiąc, że chwilę wcześniej oboje zabawiali się cokolwiek niesfornie, bowiem szamerowanie jej sukni na fortugale było niedopięte, a koronkowy kołnierzyk w nieładzie.

Sprzedajna wywłoka – bo przecież Jacek nawet w najpiękniejszych snach nie mógłby nazwać tej plebejskiej narożnicy bratową – nawet nie podniosła się na jego widok. Spuściła za to skromnie wzrok i skryła oczy pod rzęsami, długimi jak lista gachów, którzy ujeżdżali ją w bramach i zamtuzach niczym starą kobyłę, zanim otoczył ją opieką Przeclaw. Od którego – nomen omen – starsza była o cztery lata. Tfu! Obraza boska! Po co on ją tu przywłókł?

– To mówcie, rybeńki – zagaił starosta. – O co poszło, a?

– Rzucił się na mnie z szablą – zaczął Jacek.

– Ubić mnie chciał – powiedział w tym samym czasie Przeclaw.

– Zaraz! – zaoponował starosta. – Po kolei. Najpierw starszy, potem młodszy.

– Brat wyciągnął żelazo. A kiedy odbiłem cię i rąbnąłem w łeb, podstawił mi się pod ostrze. Nie zdołałem wstrzymać ręki. I stało się. – Wskazał Przeclawa w płóciennym turbanie.

– A ty, rybeńko? Cóż nam powiesz?

– Rozprawialiśmy o podróży do Moskwy – powiedział młodszy z Dydyńskich słabym głosem. – Pan brat nie chciał jechać. A kiedy zamierzałem go przekonać, że powinniśmy wyruszyć tam razem, jakoby diabeł go opętał. Dobył szabli i z nim zdołałem się zastawić, dostałem w łeb, aż mnie odwinęło na drugi koniec izby.

– Łziesz jak pies! – syknął Jacek. – Sam mnie sprowokowałeś. Nie chciałem zrobić ci krzywdy. Uderzyłem w zastawę, a wtedy ty cofnąłeś rękę!

– Jak Przeclaw szabli dobył, mości panie – syknęła Halszka niczym stara kocica broniąca młodych – skoro ją w pochwie u niego znaleźli? W czerwonej izbie... Sama widzia...

– Co ty widziałaś, kokocico przez całe województwo przejechana?! – wybuchnął Jacek, bo miał już tej baby powyżej uszu. – Coś mogła widzieć, skoro ci ślipia cięgiem tylko za pieniędzmi latają, co je nasz rodzic w skrzyni zostawił?! Myślisz sobie, przechodko krakowska, że weźmiesz mego brata za męża? Spodziewasz się, że skoro go obłapiłaś za kusia i dogodziłaś jak żadna inna, to zostaniesz żoną szlachcica?! Ty bikso przechodzona przez dwudziestu fajfusów, małpo, jebicho, bestyjo! Toż gdyby żył nasz pan rodzic, toby cię psami z Dydni wyszczuł jak śmierdzącą klępę!

– Dość! – przerwał starosta. – Teraz mówię: milcz, rybeńko. A ty, panna – odwrócił się do pociemniałej z gniewu Halszki i obejmującego ją Przeclawa, który poderwał się ze stosu poduszek, słysząc obelgi brata – idź i zostaw nas samych. Musimy pomówić. Tak, dobrze powiedziałem: pomówić na poważnie. I o ważniejszych sprawach niż rodzinne waśnie.

Skotnicka wstała rozdygotana, z rumieńcem na policzkach, skłoniła się przed Ożgą i wycofała, nie spuszczając wściekłego wzroku z Jacka. Dydyńskiemu zrobiło się trochę straszno – wszak wszyscy wiedzieli dobrze, że jej matka, stara Kleszyna, była srogą i zawistną czarownicą, a wąsy goliła całkiem jak rotmistrz hajduków.

Zostali sami. Starosta siadł na zydlu i popatrzył na braci, kiwając głową.

– I co ja mam z wami począć, kochaneńkowie? Myślałem, że pojedziecie do Moskwy szukać stryja, ale teraz widzę, że nie można zostawić was razem bodaj na chwilę, bo zaraz rzucacie się sobie do gardeł jak dwa wściekłe wilki. Jedna jest rada na waszą inwidię³³. Jeden z was winien zostać, a drugi – pojechać. Tak, dobrze mówię! Zostaniecie rozdzieleni. Jeden w Moskwie. Drugi w Dydni. Oto co postanowiłem.

– Mam jechać do Moskwy – rzekł Przeclaw żałośnie – z dziurą we łbie zostawioną na zadatek przyszłej braterskiej przyjaźni? Poza tym to Jacek pierwszy porwał się do szabli...

– Nie jest ważne, kto się porwał, ale kto jest w stanie opuścić Dydnię – przerwał mu Ożga.

– Skoro Przeclaw był na tyle sprytny – rzucił Jacek – żeby zwalić całą winę na mnie, niechaj sam wsiada na konia, kiedy wyzdrowieje. Dam mu choćby własnego i niechaj spróbuje swoich forteli na Moskalach! Obaczymy, czy się pomiarkują, kiedy nadstawi łeb pod ostrze.

– Był sprytniejszy, to prawda. Dobrze mówię, rybeńko – zauważył starosta – że nadstawił drugi policzek. A ty, panie bracie, nie chciałeś go usiec, ale pomimo zacnych intencji i tak wyszło na to, żeś gwałtownik i paliwoda. Nie było samemu dać się porąbać? Fantazję by ci psi zjedli, ale miałbyś dach nad głową!

– Nie bardzo wiem, gdzie i po co mam jechać do Moskwy. Ani czego tam szukać.

– Bratu będzie łatwiej – zauważył Przeclaw. – On uwolnił na trakcie z rąk zbójów Dymitra, carzyka moskiewskiego, który przebywa w Samborze, u Mniszchów w gościnie. Za taką łaskę czekają Jacka fawory, a da Bóg, Dymitr odzyska władzę, niechybnie każe poszukiwać w całej Moskwie potomków Michała, choćby zapadli się pod ziemię.

Jacek utkwiał w Przeclawie złe spojrzenie. I po raz kolejny przeklął moskiewskiego carzyka i całe spotkanie z oberwaną czeredą na trakcie pod Bachorzkiem.

Przymknął oczy, bo dopiero teraz pojął perfidną grę brata. Zobaczył jak w lustrze swój postępek i konsekwencje. Zaliste – pan Ożga mówił prawdę, lepiej byłoby nadstawić drugi policzek. Może miałyby wówczas uszczerbek na honorze i głowę w kawałkach, ale zachowałyby życie i mógłby zażywać wyczasów pod ojcowskim dachem z Jadwinią opiekującą się nim jak maleńkim otrokiem.

Do jasnej murwy babilońskiej ladacznicy! Przeclaw zastawił na niego pułapkę. Schwytał go w paść... On po prostu i nieodwołalnie chciał go wysłać na Moskwę.

– Kto to jest Dymitr? – mruknął. – Wor i rostryga, jak powiadają? Carzyk nieprawdy? Samozwaniec? Kto za nim stoi? Król? Sejm? Senat? Hetman? Sam słyszałem, że pan Żółkiewski chce ściągnąć kwarcianych z Ukrainy, aby tę hałastrę Dymitra rozpirzyć na cztery wiatry! Z kim tedy na Moskwę pójdzie? Z kijem dębowym? Wyprawa z Dymitrem to pewna śmierć, a ty wiesz o tym dobrze... brat!

Przez chwilę panowała cisza.

– Nigdzie nie pojedę, mości panie starosto – rzekł, starając się, aby jego głos nawet nie zadrżał. – Możecie pasy ze mnie drzeć, ale nie opuszczę tego dworu.

– Jeśli nie pojedziesz, pozwę cię do sądów, brat – mruknął zimno Przeclaw. Mówił takim samym tonem jak jego matka, Jackowa macocha, kiedy złapała starszego Dydyńskiego w alkierzu po stłuczeniu słoja z pomadami na odmłodzenie tyłka. Które i tak – prawdę rzekłszy – wcale nie pomogły jej w odzyskaniu powabu młodości.

– Ja nie chcę nic suponować, rybeńko – rzekł spokojnie starosta. – Jednak schwytano cię in recenti. Zaraz po napaści na brata. Gardłowej sprawy z tego nie będzie, jednak mogę, a właściwie powinienem odstawić się do grodu. Zgodnie z prawem i wszystkimi konstytucjami.

– A więc to szantaż? Albo pojedę do Moskwy, albo pójdę do wieży? A Przeclaw będzie tu gospodarował?

– Nie, rybeńko. Na razie i do chwili wypełnienia warunków testamentu w Dydni rządę ja! – zagrmiał Ożga. – I nic się nie zmieni, dopóki nie zobaczą albo żywych stryjecznych braci waszmości, albo dowodów, że nie ma ich na tym świecie! To nie jest szantaż. To konieczność. Nie będę robił za rozjemcę między wami, bo prawdę powiedziawszy, nie mam ku temu czasu ani chęci. Dlatego stawiam sprawę jasno: jedź do Moskwy jak najszybciej. Odnajdź swoich krewnych żywych lub martwych. Chciałem wysłać was tam obu, ale wyszło, jak wyszło, rybeńko. Jeden z was musi jechać, a pani Fortuna zdecydowała za mnie z woli niebios. Albo zatem pojedziesz, albo czeka cię sanocka wieża. Jest tam od miasta zacna izdebka, a pan Chamiec rad powita cię na zamku.

Dydyński przymknął oczy.

Wieża? Do kroćset, przecież nie skażą go na gardło. Tu, na pograniczu polsko-węgierskim, uchodziły szlachcie płazem znacznie większe przewinienia; jak rozpedzenie sejmiku, zbrojny zajazd na Rzeszów albo oćwiczenie woźnego różgami. Zresztą, do diabła, był towarzyszem husarskim pod hetmańskim prawem. Czyżby starosta o tym zapomniał?

Co robić? Zostać z Przeclawem? Znosić jego wybuchy furii? Jego podstępny i pułapki? Jego narastającą nienawiść, spadającą w dół jak powodziowa fala, potężniejącą, coraz większą i nieubłagalną? Która kiedyś uderzy w jego piersi ze zdwojoną siłą?

– Jedź do Moskwy, rybeńko – powtórzył starosta, jakby czytając w jego myślach. – Co tutaj będziesz robił? Toż każda chwila oddała czas, w którym majątek zostanie podzielony. Chcecie zostać jak zwykle sieroty pod moją kuratelą przez całe lata?

Mówił prawdę. Jacek i Przeclaw nie byli niewiastami i nie obejmowały ich konstytucje stanowiące, że po osiągnięciu dwudziestu pięciu lat opiekunowie musieli wydać je za mąż pod groźbą konfiskaty połowy posiadłości!

Co robić? Wojna z Przeclawem? Na to miałyby jeszcze siłę. Ale ze starostą?

Chyba żeby postąpił jak Jan Tomasz Drohojowski – zaciągnął kompanię swawolników i banitów, po czym sam został wywołańcem kryjącym się w Bieszczadzie i po tatarsku podchodzącym wrogów.

– Dajcie mi czas na przemyślenia.

– Oczywiście. – Starosta rozłożył ręce. – Ile tylko zechcesz, rybeńko.



swiatksiazki.pl

Kup w świecie książki